



CZEKOLADOWA

# DYNASTIA

CZAS KAROLA

*Opowieść o rodzinie Wedłów*

TERESA MONIKA  
RUDZKA

MARGINESY

*E. Wedel*

CZEKOLADOWA  
**DYNASTIA**

C Z A S   K A R O Ł A

*Opowieść o rodzinie Wedłów*

**TERESA MONIKA  
RUDZKA**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Teresa Monika Rudzka  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

*Pamięci mojej kochanej Żywenki, Żywii, Żywusi*

Zbeletryzowana historia rodziny Wedłów, Polaków z wyboru, została oparta na źródłach i faktach, szczególnie w kwestii powstania, rozwoju i rozkwitu firmy E. Wedel. Poza tym należy do obszaru zwanego fikcją literacką. To wytwór mojej wyobraźni i posiadanej przeze mnie wiedzy o tamtych czasach, spisany w celu dobrego i interesującego opowiedzenia dziejów tych wspaniałych ludzi.

„To było do przewidzenia, że Frau Christine będzie kręcić nosem” – pomyślała siedemnastoletnia Joanka. A właściwie Johanna, córka Polki imieniem Marianne i niemieckiego stolarza Kurta. Co prawda ten ostatni utrzymywał, iż Marianne, będąc mieszkanką Wielkopolski, a ściślej mówiąc – miasteczka Pleszew, jest siłą rzeczy poddaną króla pruskiego, czyli Niemką. W dodatku od dziecka władała biegle mową ojczystą męża tak samo jak językiem polskim. Kurt zachwycił się nią natychmiast podczas stacjonowania w koszarach, gdzie odbywał służbę wojskową. Z otrzymaniem zezwolenia na ślub nie miał problemu – i tak oto przyszli rodzice Johanny znaleźli się w Meklemburgii, w miejscowości Ihlenfeld. Rodzice panny młodej nie byli zachwyceni, że jedyna córka w gromadzie chłopaków opuszcza Pleszew, że poślubia Niemca, lecz pogodzili się z losem, pamiętając słowa kazania pleszewskiego księdza, że taki jest los żony: musi iść za mężem. Znajomy pastor, kierujący wspólnotą żyjących w okolicy wyznawców luteranizmu, orzekłby to samo. Marianne z Kurtem zamieszkali zatem w Ihlenfeldzie, strasznej dziurze leżącej koło nieco większej dziury, miasteczka Neuenkirchen. Wydawało się, że los sprzyja młodej rodzinie, gdyż dobry stolarz nieusta-

jąco miał dużo pracy, pani Marianne Miller co rok znajdowała się w stanie błogosławionym, a że Bóg ją zaszczycał łaskawością, to w niewielkim domku razem z Johanną biegało ośmioro dzieci. Wkrótce jednak w ów dobrostan wmieszał się szatan; bo tylko jego podszeptami można było wytłumaczyć fakt, iż pan domu coraz częściej zaglądał do kieliszka. Lecz jeszcze nie to było najgorsze. Do prawdziwej tragedii doszło, gdy spłonął stolarski warsztat, czyli źródło utrzymania rodziny Millerów, która po tym zdarzeniu znalazła się prawie w nędzy. Ojciec przeklinał zły los, nie czyniąc jednak nic, by go odmienić. Matka, próbując jakoś łątać domowy budżet, chodziła prac, sprzątać, a nawet piec i gotować u obcych ludzi, zabierając ze sobą ją, Joankę, jednakże wynagrodzenie, jakie otrzymywała, było kroplą w morzu potrzeb.

– Moja droga Miller, Bóg docenia uczciwy wysiłek, proszę być pewną. Ośmielę się zauważyć, że Najwyższy pomaga tym, którzy dają pomoc sobie – rzekła pewnego dnia wytworna, bogobojna i zarozumiała Frau Christine Wedel z domu Krüger, gdy Joanka z matką skończyły porządkę w jej domu. – Mam rację, Joachimie? – odezwała się nieco głośniejsz w kierunku sąsiedniego pokoju, by pytanie dotarło do uszu jej męża.

Mogłaby oczywiście krzyknąć, ale pokrzykiwanie jako takie nie było przejawem dobrego wychowania, a Frau Wedel nade wszystko chciała uchodzić za osobę, która wie, jak znaleźć się w każdej sytuacji. Złośliwi szemrali, że w ten sposób pragnie, by sądzono, iż należy do porządnego towarzystwa, znajdującego się choć o szczebel wyżej na drabinie społecznej niż grono uczciwych rzemieślników – a do nich

właśnie zaliczali się Wedlowie na mocy urodzenia i uprawianego zawodu. Christine sprawnie kierowała rodzinną piekarnią, choć Bogiem a prawdą takie obowiązki były męską domeną. Ale Joachim, rządca niewielkiego majątku, przytakiwał żonie, widząc, jak prosperuje interes, czyli lepiej niż dobrze. Pieniądzy przybywało na tyle, że mogli posłać syna Karola na praktyki zarówno do rodzimych piekarni, jak i do znamienitych firm cukierniczych w Londynie, Paryżu i wreszcie Berlinie, albowiem Karolowi obrzydł wypiek powszedniego chleba, bułek miał powyżej uszu i zachciało mu się czegoś więcej. „Porządny człowiek cieszy się tym, co jest, a tu masz, już niemal pańskie fupy i grymasy”, „pycha poprzedza upadek”, „nawet najlepsze słodkości czy pęczniący trzos nie pomogą Wedlom wejść na salony arystokracji, a już tym bardziej na cesarski dwór” – szemrali ludzie i dodawali, że człowiek powinien znać swoje miejsce w szeregu.

Karol jakoś długo nie wracał z tego Berlina, nie słyhać było również, aby odniósł spektakularny sukces, zbił majątek lub był proszony na polowania przez samego księcia. Coś tutaj było nie w porządku; czyżby państwo Wedel rozpuścili Karola, ukochane dziecko, a także swoją największą nadzieję? Bo żeby tyle czasu nie odwiedzać rodziców? Pozostałych krewnych? Gardzić Ihlenfeldczykami, którzy byli, jacy byli, ale szanowali swoich i w razie potrzeby nie odmawiali pomocy? A może Karol Wedel zasmakował w hazardzie i przepuścił wszystkie pieniądze? Może zadawał się z ladacznicami? Młoda krew nie woda, a wiadomo, jakie zepsucie panuje w dużych miastach. Londyn! Paryż! Ludziom się zachciewa licho wie czego! Ihlenfeldczycy nie



włóczyli się po świecie i co, źle im było? Naturalnie, zdarzały się nieszczęścia lub dopusty boże, ale tak się działo wszędzie... Te i podobne myśli przelatowały przez głowę Frau Miller i jej córki Johanny, choć pierwsza z nich niekoniecznie uważała, żeby osiedlanie się w innych stronach niż rodzinne obrażało Boga. Owszem, jej los nie był teraz godny pozazdroszczenia, lecz przed jego raptowną odmianą zaznała trochę szczęścia, zobaczyła coś poza Pleszewem i okolicznymi wsiami. Teraz usłyszała, jak Joachim Wedel nieco podniesionym, ale grzecznym tonem przyznaje żonie rację. „Choć co to za gawędy z pokoju do pokoju, zupełnie jakby nie można było wstać, podejść i porozmawiać jak człowiek z człowiekiem, jak nakazuje dobre wychowanie” – myślała Marianne Miller, a jakiś złośliwy chochlik szeptał jej do ucha, że może i mieszkańcy Ihlenfeldu nie są wcale tacy miłośni, za jakich się uważają, ale w tym przypadku mają rację: Wedlom daleko do eleganckiego towarzystwa. Marianne Miller była córką, a potem żoną rzemieślników, których los ciężko doświadczył i którzy staczali się w otchłań pijaństwa, ale posiadała jakieś takie pojęcie o świecie i zaszczebiała je córce. Joanka tylko chwilami wydawała się tępą; nie brakowało jej sprytu, więc wcale nieźle dawała sobie radę. Była posłuszna, a kiedy czegoś nie wiedziała lub nie była pewna, co robić, wołała milczeć i obserwować otoczenie. „Ludziom, którzy się wychylają, urywa się łeb w pierwszej kolejności” – dumiała Frau Miller, czekając, aż Christine Wedel przystąpi do rzeczy, bo przecież nie zatrzymała ich w celu wspólnego picia kawy.

– Tak, Frau Wedel? – spytała grzecznie.

– Znam waszą sytuację, droga Miller. Dopilnuję, żeby szanowny małżonek otrzymywał więcej zleceń. Proszę tylko przemówić mu do rozsądku, bo pijak nigdzie nie zagrzeje miejsca – rzekła Frau Wedel, niepotrafiąca i nawet niepragnąca owijać niczego w bawełnę. – Dla was wystaram się o miejsce gospodyni u pastora, obecna zapada bowiem na zdrowiu, więc syn zabiera ją do siebie. To piękne, gdy krewni się o nas troszczą... – Christine Wedel we własnym przekonaniu zabłysnęła jako światowa, a także miłosierna dama.

– W takim razie co ja mam uczynić? – Marianne Miller też nie lubiła strzępić języka po próżnicy.

– Ty jesteś Johanna, tak? – Frau Wedel spojrzała na córkę Marianne. – Dla ciebie też jest praca... Powiedziała-bym: bardzo dobra praca.

– No to...

– W Berlinie, u naszego syna Karola. Dziewczyzna jest niepełnoletnia, więc rodzice muszą wyrazić na to zgodę. Zresztą nie ośmieliłabym się odrywać dziecka od bliskich, ale każdy w końcu pójdzie na swoje, bo takie jest życie – oświadczyła Frau Wedel. – Nie ma się czemu dziwić, Miller. W Berlinie służba jest droga, a nasz kochany Karol jest na dorobku, pragnie z czasem założyć własną firmę, więc oszczędza każdy grosz. Na razie pracuje u pewnego cukiernika. Poza tym... Poza tym zależy nam na dyskrecji.

– Młoda panienka u samotnego mężczyzny? To się nie godzi, w żadnym razie! Na jakieś łajdactwa nie dam córki! Dlatego dyskrecja? Otóż, Frau Wedel, ludzie i tak się dowiedzą, i tak będą plotkować o wszystkim, co jest, a jeszcze

od siebie dołożą. Johanna straci reputację, jak potem znajdziemy jej męża?

– Karol nie jest samotny, on... – Christine Wedel się zająknęła i Marianne pomyślała natychmiast, że syn pracodawczyni pewnie woli męskie towarzystwo i że ona tym bardziej nie odda Joanki na służbę u jakiegoś sodomity.

– Mowy nie ma, jakoś damy sobie radę – rzekła wojowniczo.

– Karol... Karol ożenił się niedawno. Ale z pewnych względów wolę, by ten fakt zachowano w tajemnicy. Johanna mimo młodego wieku wydaje się rozsądna i nie papie o wszystkim na prawo i lewo, zgadza się?

Informacja o ożenku Karola zmieniała postać rzeczy.

– Naturalnie, Frau Wedel, można na niej polegać, a przy tym dziewczyna jest pracowita. Gotować też potrafi, posprząta.

– To ja bym ją zgodziła do pomocy u Karola i jego żony. Krzywdy mieć nie będzie, nawet zaoszczędzi na posag, doświadczenie zdobędzie. Kiedy Joanka może jechać do Berlina? Młoda pani wymaga opieki i pomocy – mówiła gorączkowo Christine Wedel, podczas gdy jej służąca zastanawiała się, dlaczego wcześniej ani ona, ani nikt w Ihlenfeldzie nie słyszał o małżeństwie pana Karola.

Normalna to rzecz, że rodzice obwieszczali ten fakt rodzinie i sąsiadom, chełpiąc się przy tym, jaki udany mariaż stanie się udziałem ich dziecka. Za tym szły informacje o dacie ślubu, przyjęciu weselnym, a także zaproszenia dla gości. Tymczasem tutaj Frau Miller usłyszała suchą informację, którą w dodatku musiała zachować dla siebie.

Christine Wedel była czuła na punkcie honoru i znaczenia rodziny, wszystko wyglądało zatem co najmniej podejrzanie. Zapewne synalek postawił rodziców przed faktem dokonanym, za nic mając matczyne i ojcowskie błogosławieństwo i biorąc za żonę kobietę podejrzaną reputacji. Może została nią dziewczynina wywodząca się z najgorszej biedoty, może nawet prostytutka?

– Nic mi nie wiadomo o pani Karolowej – rzekła Marianne.

– Ach, droga Miller, proszę się nie obawiać. Kobieta jak każda, wydaje się uczciwa. Tyle że Karolek mógł znaleźć lepszą partię. Z posagiem. A toto... Jakaś sprzedawczyni, Poleczka, której rodzice szukali szczęścia w stolicy, lecz padli ofiarami zarazy. Poznała mego chłopca, zakreśliła się, niby oboje są w sobie zakochani, tylko doskonale wiemy, jak kończą takie pary. Bez zgody rodziców, potajemnie... Samowola dobrze nie wróży, Miller wspomni moje słowa. – Grymas na twarzy Christine Wedel upewnił Marianne w przekonaniu, że była na dobrym tropie. – No ale stało się, więc moim obowiązkiem jako matki jest dopilnowanie, aby w domu mego syna panowały ład i dyscyplina. Ta jego połowica nie zna się na tym, nie potrafi. W głowach im jedynie śmiechy, żarty, przekomarzenie i oczywiście amory – rozgadała się Frau Wedel.

Marianne nawet się nie zdziwiła, skąd jej pracodawczyni wie o tym, co się wyprawia w berlińskim domu Karola. Życie ją nauczyło, że dla plotek, pogłosek tudzież informacji granice nie istnieją. Zresztą, rozsądnie rozumując, syn wprawdzie nie posłuchał rodziców, lecz na pewno do nich pisywał, prosząc, jeśli nie o wybaczenie, to o wsparcie i zro-

zumienie. Nagle znowu usłyszała Christine Wedel, tym razem zwracającą się do Joanki z pytaniem, kiedy może wyruszyć do Berlina. Wiosna w pełnej krasie, więc dyliżans sprawnie pokona drogę, koszty podróży rodzice Karola biorą na siebie.

– Dwa dni potrzebuję na uszycie sukienki dla Joanki, w której będzie chodzić do kościoła. No i takiej na co dzień, kilka fartuszków, buty – wyliczała Marianne, a Frau Wedel odparła, że zgoda, a jeśli czegoś zabraknie, wtedy Joanka poczyni zakupy w Berlinie.

– To ogromne miasto, więc na początku możesz się gubić. Napisałam Karolowi co i jak. No i w tej samej kamienicy mieszka stara Berta, dozorczyń. Pomoże, pokieruje, pytaj jej o wszystko. Pieniądze na gospodarstwo otrzymasz, będziesz umiała się rządzić?

– Będę! U nas w domu liczymy każdego feniga przed wydaniem! Co jeszcze mam robić? Sprzątać? Gotować? – chciała wiedzieć siedemnastoletnia Johanna.

– Pani ci powie, a gdyby nie, to normalnie, jak w domu. Zamieciesz, kurze zetrzesz, pójdziesz na rynek po sprawunki. Koniecznie z Bertą, inaczej zginiesz marnie, bo kupcy poznają, żeś nie berlinianka, i od razu cię oskubią. Moja synowa wyda ci rano dyspozycje... A może nie. Raczej polegaj na sobie, bo z tego, co słyszałam, młoda pani to francuski piesek, chociaż wywodzi się z najzwyczajszych, niezamożnych ludzi. – Wykrzywiła usta, niezadowolona. – I pamiętaj, nie plotkuj, nie gadaj, co się dzieje w domu, rozumiesz?

– Tak, Frau Wedel. – Joanka dygnęła, całując jednocześnie Christine w rękę.

– Zatem postanowione. W razie czego pisz do mnie i do matki. Umiesz pisać?

– Tak, chodziłam do szkoły elementarnej, mama mnie też uczyła po niemiecku i po polsku. Czytałam jej stare książki, a pisanie też ćwiczyłam ze specjalnego poradnika...

– Polski się przyda do rozmów z młodą panią, bo niemiecki to ona aby-aby... Możesz ją czegoś nauczyć, najwyżej akcent będzie nieodpowiedni. Z czasem kobieta powinna się wyrobić, ale to już w rękach Najwyższego. – Frau Wedel westchnęła ciężko.

– Jak ma na imię młoda pani? – ośmieliła zapytać matka Joanki.

– Nie mówiłam? Karolina. Karol i Karolina ładnie brzmi, ale nie o to w życiu chodzi. Szykuj się, Johanno! Jeśli będę z ciebie zadowolona, to nie pożałujesz. Znajdę też zatrudnienie dla twojego brata, może i dla dwóch – rozgadała się Christine Wedel. – A teraz pakuj się, dziewczyno, dyliżans będzie pojutrze o świcie.

Berlin, 20 kwietnia roku Pańskiego 1841

*Wielce szanowna i ukochana matko!*

*W pierwszych słowach mojego listu donoszę, że mam zdrowo, czego i Wam życzę. Matce mojej najdroższej, ojcu memu i braciom. Usilnie proszę o wybaczenie, że ślą list dopiero teraz, ale ledwom doszła do siebie po trudach podróży, to musiałam się wdroić w nowe obowiązki. Ludzie mówią, że jazda dyliżansem nie męczy i trwa krótko, jednakże moje doświadczenie temu przeczy. Dobrze, że Frau Christine Wedel okazała przezorność, zapisując mnie na jazdę do Berlina, bowiem okazuje się, że nie można przyjechać na stację pocztową bez uprzedniego powiadomienia. Koniecznym jest również zanotowanie nazwiska pasażerów, ich bagażu, trasy podróży, stacji początkowej, stacji docelowej i wysokości opłaty. Jeśli podejrzewa się kogoś o podanie fałszywego nazwiska, to ekspedytor jest zobowiązany do sporządzenia osobnego pisma. Tak mi wyjaśnił pastor Holm, starszy już jegomość, niemniej świątliwy i życzliwy, w którego towarzystwie przepędziłam kilkudniową jazdę. Mitręgą ona była niesamowitą, pomimo najnowocześniejszego pojazdu, o czym również poinformował pastor Holm, który z uwagi na powołanie swe bywał ongiś w takich miastach jak Warszawa, Krzemieniec i Londyn, mama może sobie wyobrazić? Trasy w Królestwie Kongresowym są*

fatalne, w Anglii bardziej udane, bowiem od kilkunastu lat poczęto w Europie budować nowe drogi bite i mosty oraz ulepszać trakty. Pastor Holm wierzy, że ludzkość zmierza ku wszelkiej poprawie życia, lecz podróż nasza chwilami zdawała się przeczyć jego słowom.

W dylizansie panował ścisk i wyczuwało się niemiłe zapachy, a to z powodu braku dostępu do wody. Pastor Holm powiedział, że i na wodę przyjdzie czas, że będziemy jeździć na inne kontynenty szybko oraz w warunkach higienicznych. Uważa, że mycie jest potrzebne dla zdrowia, a także komfortu własnego i innych. Pastor, mimo starszego już wieku, jest osobnikiem nowoczesnym, otwartym na wszelakie zmiany, choć jak cały czas podkreślał, człowiek ma obowiązek dążenia do doskonałości, a wszystko leży w rękach Pana. Zapewne wolą Pana było przebywanie w nieprzyjemnych oparach, do czego też się przyczyniłam, jako że porządnie się umyć mogłam dopiero w Berlinie. Najgorsza była jednak dość stara panna, na oko dwudziestodwuletnia, której wieku dodawały czerwona barwiczka na twarzy, jakoweś pomady, dziwnie rude włosy i mdląca perfuma. Panna Schmidt kazała nazywać się Lori, śmiała się bez przerwy i usiłowała wciągnąć w rozmowę towarzyszy podróży. Większość była oczarowana, mimo iż panna Lori pachniała cokolwiek nieprzyjemnie. Tylko pastor Holm uprzejmie odmawiał, a chwilami nawet uciszał tę nieprzyjemną kobietę.

Dzięki mojej najdroższej mamie, a także Frau Wedel miałam zapas jedzenia i picia, zatem nie musiałam korzystać z tego, co oferowano pasażerom na stacjach pocztowych. Jak się dowiedziałam od nieocenionego pastora Holma, pocztalteryzy byli zobowiązani dostarczyć podróżnym na każdej stacji



kawę, herbatę, wódkę, chleb, masło i wędlinę, za odpowiednią, niewygórowaną opłatę. Jednakowoż dla mnie było drogo, poza tym postanowiłam być oszczędną, zatem tylko jeden raz skorzystałam i napiłam się herbaty, niestety dużo gorszej, niż parzy najdroższa mama. Zdarzyło się, że raz dylizans wpadł w rów, jednak obyło się bez wywrócenia i złamania koła. Jeden z pasażerów rzekł, iż na szczęście w państwie pruskim nie ma wielu zbójców, zarabiających na życie napadaniem na podróżnych, co sam kiedyś przeżył gdzieś na rubieżach wschodnich. Niech droga mama się nie obawia; nie weszłam w żadną zażyłość z panną Lori Schmidt, natomiast z pastorem pożegnałam się uprzejmie. Zapewnił, że zawsze mogę liczyć na jego życzliwość, i dał mi swój adres w Berlinie, choć dużo podróżuje, więc przebywa tam nieczęsto, ale w razie potrzeby mam się zwrócić do jego żony.

Dotarliśmy wreszcie do Berlina, a wtedy pastor Holm zaczekał, aż jakaś gruba jejmość na stacji poczęła wołać za Johanną Miller, czyli za mną. Była to jejmość Berta. Do kamienicy, gdzie mieszkanie wynajmował mój pracodawca, pan Karol Wedel, udałyśmy się pieszo, jako że nie było to daleko. Berlin to zaiste wielkopańskie miasto, piękne i ogromne, od razu mnie oszołomiło. Wprawdzie na jezdniach znajdowały się nieczystości końskie, za to domom nic nie mogłam zarzucić. Wszystkie wykwintnego wyglądu oraz starannie utrzymane. Co prawda, jejmość Berta utyskiwała na brud i na hałas, ale zauważyłam jeno to drugie. Straciłam prawie głowę od wrzasków, nawoływań i rozkazów, jakich nie szczędzą sobie berlińczycy. Wielka to odmiana po cichym Ihlenfeldzie, gdzie nawet odgłosy polowań czy jakowychś jarmarków brzmiały cicho i dostojnie.

Berta powtarzała, iż do miasta przybywają wciąż nowi ludzie, poszukując lepszego losu, a skutek jest taki, że panują w nim brud i coraz większy nieporządek. Odparłam rezolutnie, że inaczej by nie zbudowano Berlina, lecz kobiecina kazała mi zamilknąć i zezowała na mnie nieprzychylnie.

– Paniencie w tym wieku i zgodzonej na posługi nie wypada mówić w ten sposób. Dość, że sam Karol Wedel też nierodowity berlińczyk. A jednak Niemiec jak się patrzy. A ta jego... No...

– Żona? Podobno Polka?

– Nie podobno, lecz na pewno, choć wiary jest naszej. A czy żona... Tego to ja nie wiem, choć żyją jak małżeństwo, jednak ludzie opowiadają rozmaite rzeczy. Przestań, panna, mnie brać na spytki, bom ja nie plotkara przecież. Tobie też radzę trzymać język za zębami, robić, co każą, po to jesteś. Ja sprzątam kamienicę, a u pana Wedla raz w tygodniu robię gruntowne porządki. Dobrym jest, że młodej pani nie w głowie gospodarstwo, głupiutka się zdaje, więc czynię, jak mi wygodnie. Ale też źle, gdy nie ma konkretnych wskazówek. Tom się rozgadała, a patrz, panna: jesteśmy na miejscu. Kieruj się na prawo. – Jejmość Berta otworzyła masywne drzwi mieszkania na parterze. Krzyknęła w głąb, że jesteśmy, ona i panienska Johanna Miller, którą pan zapewne wprowadzi w obowiązki. Otworzyły się jakieś drzwi i oto zobaczyłam mojego chlebodawcę. Mama mówiła, że pan Karol Wedel ma dwadzieścia osiem lat, ale ja widzę, że z powodu obfitego zarostu wygląda poważniej. Wzrostu jest średniego, szare oczy (a może niebieskie?) patrzą badawczo i zarazem łagodnie. Po grzecznym powitaniu, wypyтaniu o zdrowie rodziców oraz pogodę w Ihlenfeldzie pan Karol poprosił Bertę, żeby poka-

zała mi rozkład pomieszczeń, a także służbówkę, gdzie będę spała. Okazała się malutkim pokoikiem w kuchennej wnęce, co mnie całkiem ukontentowało. Mój pierwszy własny kąt w życiu!

– Gdyby Berta była taka dobra i poszła rano z Joanką na rynek, pokazała, jak się robi zakupy. Później, jak się u nas sprząta, a przedtem Joanka przygotowuje śniadanie. Pani Karolina zadzwoni, wtedy jej przynieść, świeża kawa też ma być – mówił Karol Wedel, a mnie to uderzyło, gdyż wprowadzanie do domowych obowiązków i piecza nad nimi należą wszak do pani domu. Zapytałam o to Berty, gdy zostałyśmy już same.

– Mówiłam przecie, że pani Karolina nie lubi gospodarstwa. Stroić się owszem, patrzeć w zwierciadło to chętnie. Poza tym się spodziewa. Co tak patrzysz, panna? Pani Wedel jest w błogosławionym stanie i tylko patrzeć rozwiązania. Młoda jesteś, ale w tym miejscu musisz mieć jakieś pojęcie o tych sprawach. To nie klasztor, to życie, choć pilnuj reputacji – rozgadała się Berta, aby w końcu powiedzieć, że mam być gotowa na szóstą rano. Cóż więcej mogę napisać mojej najdroższej mamie. Byłam gotowa, konieczne zakupy zostały zrobione, a pan Wedel przezornie zostawił pieniądze na stoliku w przedpokoju, dołączając kartkę, na której wyliczył, ile trzeba mięsa, jaka śmietana, gdzie jajka i temu podobne. Znowu mnie uderzyła obojętność pani domu na te rzeczy, ale nie było to moją sprawą, choć ciekawość mnie paliła, tego nie ukrywam. Odważyłam jeszcze zapytać Berty, czy żona pana Karola jest ładna. Pewnie tak, inaczej jak tłumaczyć jego odanie oraz troskę? Gruba jejmość prychnęła, iż wkrótce sama się przekonam.

– Wielkanocne święta niedawno minęły, tymczasem w domu prawie nic... Bo pani źle się czuła i nie miała głowy do urządzania – zakończyła, a ja się upewniłam, że Frau Karolina Wedel jest przez nią co najmniej nielubiana. Sama się co do jej osoby przekonałam, gdyż ledwo wróciłam do mieszkania, ledwo zjadłam skibkę chleba i zamiarowałam wziąć się do porządków, to usłyszałam dzwonek z sypialni.

– Miller będzie łaskawa przynieść świeżej kawy – dobiegł mnie głos spod baldachimu łóżka. – Jak Miller ma na imię? Johanna? Tuszę, że robisz dobry napój. Idź, czekam. Postuchałam i wróciłam do sypialni, a na tacy stał nie tylko imbryk z kawą, ale i dzbanuszek ze śmietanką (dziękuję mojej najdroższej mamie, że mnie nauczyła zapiekać kożuszek na wierzchu), i talerzyk z rogalikami, a na spodeczku obok konfitury z wiśni, które znalazłam w spizarce i które usmażyła Berta.

– A mój Karolek bardzo jej pomagał – powiedziała pani Karolina, gdy zobaczyła konfiturę. – Dosmaczał, cukru wyspał w sam raz, pilnował temperatury. W ogóle mąż ma jakiś zamysł do kuchcikowania, do pieczenia, rzadko spotykany u płci brzydkiej – rozgadała się dama zajmująca obecnie miejsce w fotelu przy małym stoliku. Wtedy mogłam się przyjrzeć kobiecie, o której Frau Christine Wedel mówiła z niechęcią, a jejmość Berta z jeszcze większą, imputując w półśłówkach, że ta niewiasta ślubu z Karolem nie wzięła. Młoda pani jest mizernej postury, chuda jak szczapa, choć ma też wydatny brzuch, oznakę rychłego rozwiązania. Proszę, niech droga mama się nie gniewa, że o tym wspominam, ale pracując w obecnym miejscu, muszę być obeznana z tymi rzeczami. Wiem tyle, ile jest konieczne, a moje zainteresowania

są zgoła innej natury, tak jak przystoi pannie w moim wieku. Wracając do Frau Karoliny Wedel, to jest piegowata jak indyjskie jajo, cera niewiele, jednak dziobata, włosy ma rzadkie i nieokreślonej barwy i doprawdy nie rozumiem, co pan Karol Wedel w niej zobaczył. Choć przyznaję, los ją obdarzył pięknymi zębami, więc gdy się uśmiechnie, wtedy jakby wzeszło słońce. Porządnej kobiecie jednak nie przystoi ciągle przegłądanie się w lusterku, jak to czyni pani Karolina, ani przy mierzanie nowych sukienek. Raz niechcący zobaczyłam, jak podkreśla oczy ołówkiem, z kolei policzki jakowąś barwiczką. Na co dzień senna i jakby otępiata, ożywia się, gdy usłyszy głos męża, i zaczynają się żarty, śmiechy oraz wesołe rozmowy. Powiem mamie w zaufaniu, że oboje często zamykają się w sypialni, w biały dzień! Doprawdy nie wiem, kiedy pan Karol pracuje, jak zadowala zwierzchnika, a jest nim ponoć najlepszy cukiernik w Berlinie. Jednak wystarcza na skromne, lecz porządne utrzymanie domu, na suknie dla pani Karoliny, wreszcie na pensję dla mnie.

Najdroższa mamo, słyszę głos pana Wedla, zapewne chce wydać mi dyspozycje na jutro. Toteż kończę pisanie prośbą, żeby mama przekazała stosowne informacje Frau Christine Wedel. Proszę rzec, że wszystko jest w porządku, tylko nie wiem, co miałabym jej powiedzieć, więc zostawiam to drogiej mamie.

Zasyłam wyrazy szacunku oraz szczerzej miłości dla Was, mamo, dla ojczulka i braci.

Szczerze oddana córka

Johanna Miller

Berlin, 1 lipca roku Pańskiego 1841

Szanowna i ukochana matko!

Donoszę, że w dobrym zdrowiu, czego i Wam wszystkim życzę. Otrzymałam oba listy od mamy, za co bardzo dziękuję. W obu są połajanki i napomnienia, a w drugim mama pyta, dlaczego zwlekam z odpowiedzią, czyżbym się obraziła? Jakżebym śmiała! Na kobietę, która wydała mnie na świat i pragnie jedynie mego dobra? Przez myśl mi to nie przeszło, żeby na mamę się obrazić. Późnym wieczorem, gdy kończę swoją pracę, jedyne, do czego jestem zdolna, to do zaśnięcia kamiennym snem, a przed szóstą rano wołają mnie obowiązki. Niedawno ich przybyło, ale o tym za chwilę. Najpierw przeproszam, że zbłądziłam, plotkując o młodej pani. Ma mama słuszność: nie wygląd świadczy o wartości człowieka, nie mnie sędzić o tym, jak żyją inni, i wreszcie dobra służąca nie obgaduje swoich chlebodawców, gdyż to urąga wszelkim zasadom przyzwoitości. Zgrzeszyłam pustotą, ale proszę mieć na względzie mój młody wiek i to, że pierwszy raz w wielkim mieście, w dodatku w niezwykłych warunkach. Proszę sobie wystawić choćby nadjechanie i obecność dodatkowego gościa w domu, którym jest przyjaciółka młodej pani Wedel, również nosząca wdzięczne imię Karolina. Pani Wedel zwraca się do niej „kochana Karusiu”, a raz niechcący usłyszałam, jak obie wspominają młode lata spędzone na pen-

sji w Polsce. Otóż panna Karolina Wiśniowska urodziła się w Świebodzinie jako córka fabrykanta sukna, później rodzina zamieszkała w Zgierzu, a córkę posłano w celu kształcenia do Warszawy i tam zaprzyjaźniła się z młodą panią. Panna Wiśniowska pędziła dostatnie i spokojne życie, podczas gdy jej przyjaciółka musiała szukać lepszego losu hen, daleko, i przez to znalazła się w Berlinie. Niech mama nie sądzi, że mi w głowie plotki, jednakże mama sama pyta, jak mi się żyje, jak się przedstawia praca w domu Wedłów, a wreszcie obydwie Karoliny mówiły mi o sobie, prosząc z naciskiem, bym wszystko dobrze zapamiętała.

– Nasza rodzina będzie kiedyś sławna, a ty, Joanko, zaświadczysz o jej skromnych, lecz uczciwych początkach – powtarzała młoda pani Wedel, spoglądając z niejakim strachem na swój wielki brzuch.

Panna Karolina Wiśniowska przytakiwała jej zapamiętałe i z chichotem. Przedtem wypity po kieliszku likieru, jednak nie to wpłynęło na gadatliwość obu dam, a dwie filiżanki napitku zwanego czekoladą.

– Zrobiona jest z ziaren kakaowca, może przyjąć kształt wdzięcznych tabliczek, które kupuje się w składach, ale ja lubię, gdy mój Karol przyrządzi mi gorącą czekoladę według własnego pomysłu, gorzką, a przy tym słodką, z dodatkiem cukru i wanilii... Od razu lepiej się po niej czuję – mówiła żona (albo, jak gadają niektórzy, nie-żona) pana Wedla.

– Ja zwyczajnie znajduję w sobie stan upicia, niech się schowają wszystkie nalewki – wtórowała panna Karolina.

– Bo też Karol opowiada, że kakaowe ziarna wykorzystywały plemiona Indian Majów do produkcji napoju dla najbogatszych o nazwie Xococalit. Pito go również podczas modłów

i odpraw rytualnych. Mój mąż łaknie i szuka wiedzy, osobliwie tej praktycznej dodając, że światem będzie wkrótce rządzić czekolada – odpowiedziała pani Wedel. Chciała mówić dalej, ale się zakrztusiła i poczęła kaszleć. Z przykrością spostrzegłam w kącikach jej ust krople krwi. Panna Wiśniowska zakrztęnęła się koło przyjaciółki, rozpinając guziki jej bluzki i prowadząc do sypialni, a mi nakazując przyniesienie wody oraz udanie się po lekarza czy choćby felczera, gdyż jej zdaniem nie wygląda to dobrze, w dodatku ten stan błogosławiony...

– Dojdę do siebie, kiedy będzie po wszystkim, ale teraz chętnie odpocznę – rażno oznajmiła młoda pani. Nakazała mi jeszcze pomycie naczyń i straciła przytomność. Panna Wiśniowska i ja przystąpiłyśmy do cucenia, a pan wieczorem zawezwał jednak lekarza, który jak to medycy mają w zwyczaju, powiedział to, co każdy wie. Stan chorej jest poważny, trzeba zadbać o dobry sen i odpoczynek, lekkostrawne pożywienie, czekolada? Też nie zawadzi, a reszta w rękach Boga. Cóż mogę napisać, droga mamo? Pan Wedel nie ustawał w staraniach, przyrządzając dla żony słodowy syrop na kaszel, a także specjalne karmelki lecznicze. Pani Karolina Wedel mimo opieki i troski miała się coraz gorzej, więc poczęła spędzać dnie w sypialni, podczas gdy panna Karolina Wiśniowska przejęła ster rządów w domu. Mimo młodego wieku i braku małżeńskiego doświadczenia radziła sobie wcale dobrze, nawet pan Wedel stwierdził, że urodzona z niej organizatorka. Przyjemnie było patrzeć, jak wchodzi rano do kuchni i rażnym głosem wydaje polecenia, spytawszy, czy poprzednie zostały wykonane. Słowo daję, śmiało mogłaby dowodzić wojskiem! Mnie to nie wadziło, sama bowiem lubię ład i porządek, ale stara Berta narzekała na panoszenie się cudzoziemki,



co to przyjechała do obcych i rządzi się jak szara gęś. Kiedy powiedziałam delikatnie, że uprzednio miała za złe młodej pani brak zainteresowania sprawami domu, jejmość odburknęła coś o starości, która nie znosi zmian. Jednakże coraz większa komitywa między panem domu a panną Karoliną, ich ustawiczne pogawarki w salonie przy zasłoniętych storach już mi nie przypadły do gustu, gdyż wyczuwałam w nich coś niewłaściwego. Mama mi nakazała nie oceniać innych, nie wściubiać nosa w cudze sprawy, zastosuję się zatem do tych zaleceń, jako że mnie nic nie grozi, a pracę u pana Wedla wielce sobie cenię.

Teraz napiszę najważniejsze: piętnastego czerwca pani Karolina Wedel powiła syna, któremu nadano imiona Emil Albert. Pan Karol szalał ze szczęścia, choć przeplatało się ono z troską o stan małżonki. Najdroższa mamó, matka Emila słabnie z godziny na godzinę i pozostało nam tylko się modlić oraz pokładać nadzieję w Opatrzności, że wie, co czyni.

Kończę tymczasem pisanie, albowiem muszę dopilnować, czy mamka karmi należycie małego Emilka. Naturalnym było od początku, iż pani Karolina nie da rady zajmować się dzieckiem, stąd pan Karol przy wydatnej pomocy panny Wiśniowskiej, a także starej Berty wyszukał w specjalnym kantorze mamkę, która jednak lekce sobie waży obowiązki. Przyznaję, obserwując to wszystko, że opieka nad niemowlęciem jest uciążliwa, ale takie są dzieci i mamka powinna o tym wiedzieć.

Zasłałam wyrazy dozgonnego uczucia dla mamy i całej rodziny.

Wasza oddana córka

Johanna Miller

– Prosić, skoro się uparł. Co prawda, my tu z Guciem i Fryderykiem gramy w preferansa, ale niech Joanka wprowadzi – powiedział Karol Wedel, ocierając pot z czoła, a jego goście spojrzeli pytająco.

– Preferans to, jakby rzec, jest gra dla dziadków, jednakże przyznać muszę, że z panem Karolem zrobiła się z tego przednia rozrywka – pozwolił sobie skomentować piętnastoletni Gustaw Gerlach, a rok młodszy od niego Fryderyk Pulss roześmiał się gromko.

– Szanowny gospodarz gustuje w naszym towarzystwie, czego zatem chceć więcej? – rzekł przymilnie. – Pan liczysz sobie dwadzieścia dziewięć lat, jeśli dobrze pamiętam, a my w wieku jeszcze uczniowskim, dopiero w zawodzie terminujemy, jednak los przeważnie wie, co robi. Kolego Gustawie, wyjdźmy i dajmy porozmawiać panu Karolowi z gościem. Kto to właściwie jest, jeśli można spytać?

– Niejaki Robert Wiśniowski, brat tej... No, panny Karoliny, przyjaciółki nieboszczki – rzekł niechętnie Karol Wedel, pocierając nerwowo brodę. Była wcale spora, przez co jej właściciel wyglądał znacznie poważniej, niż wskazywała jego metryka. – Zostańcie, proszę. Będziecie świad-

kami w razie czego. Nikt tu nie chce ukrzywdzić panny Wiśniowskiej – zakończył, a goście popatrzyli na siebie porozumiewawczo, po czym posłali współczujące spojrzenie gospodarzowi.

Wszystkie wróble na dachach całego Berlina ćwierkały o smutku pana Wedla, w jaki popadł on po śmierci żony. Zawód swój uprawiał sumiennie, zostawał w robocie po godzinach, na temat czekolady mającej wkrótce rządzić światem mógł rozprawiać bez przerwy, ale każdy, kto miał jakie takie pojęcie o psychice ludzkiej, orientował się, że ucieczka w pracę stanowi w jego przypadku niezbyt udany exodus przed żałobą. Na próżno mądre niewiasty z parafii luterańskiej tłumaczyły, że skoro Wszechmocny tak chciał, to trzeba przyjąć pokornie Jego wolę; a poza tym szanowny pan Karol ma synka, którym musi się zająć i którego należy wychować na porządnego człowieka. Co prawda, opieka nad dziećmi jest domeną kobiet, więc nie od rzeczy byłoby, gdyby ożenił się ponownie, życzliwe parafianki chętnie rozejrzą się za odpowiednią kandydatką, uczciwą Niemką z porządnego domu. Karol Wedel słuchał uprzejmie i potakiwał głową, powtarzając, że na wszystko przyjdzie pora, a następnie zęgnął się uprzejmie i szedł do swoich spraw. Nie przejawiał ochoty do życia, jakie przystoi porządnemu człowiekowi, za to zaprzyjaźnił się z dużo młodszymi od siebie Gustawem Gerlachem i Fryderykiem Pulssem. Emilkiem zajmowała się głównie pan na Karolina Wiśniowska przy pomocy służącej Johanny Miller.

– Uszanowanie. Pozwoli pan, że przystąpię od razu do rzeczy – rozległ się energiczny głos. – Nie odpowiadasz

pan na nasze listy, a Karolina raz tylko napisała, iż wszystko jest w porządku. Wy w Berlinie pojmujecie porządek, uczciwość, jak również przyzwoitość inaczej niż reszta ludzi. Czyżbyście byli na specjalnych prawach? Prusacy zawsze nosili wysoko głowy i uważali się za lepszych od innych, nieprawdaż? Ojciec chciał wykreślić Karusię z rodziny. Traktować ją, jakby umarła! Jednak nasza droga matka upadła mu do stóp, tłumacząc, że dziewczyna jest z naszej krwi i tak się nie godzi, i trzeba spróbować przemówić jej do rozumu. Że może jakieś zgromadzenie zechce ją przyjąć, choć...

– Siostra pana nie mówi tak dużo, natomiast pan gadasz za czterech. Panna Karolina żyje, jak uważa, a przyjechała do nas z własnej woli jako przyjaciółka mojej, świeć, Panie, nad jej duszą, żony. Obecnie pomaga w gospodarstwie, bo sam nie podołałbym, więc wdzięczny jestem nie-  
skończenie i nie zapomnę jej zasług.

Robert Wiśniewski aż zapowietrzył się z gniewu.

– Jeśli szanowny pan Karol bardziej waży słowa, to na pewno nie w tej chwili! Moja siostra, otrzymawszy list od pańskiej małżonki, po prostu uciekła z domu! Może i miała jakieś tam oszczędności, ale toż to wstyd i hańba, żeby młoda panna podróżowała bez opieki, nieodwoalnie niszcząc sobie reputację. A teraz? Mieszka z samotnym mężczyzną pod jednym dachem, co, jak sądzę, nawet w Berlinie zdarza się rzadko – mówił z zapalczywością, ledwo łapiąc oddech.

– Jest dorosła i pełnoletnia. Pod moim dachem mieszka również służąca. A dozorczyńni pomagają przy cięższych pracach – odparł sucho gospodarz i wbrew sobie spiął raka, czego nie ukryła nawet obfita broda.

Gustaw z Fryderykiem zastrzygli uszami, natomiast Robert z nagłą zmienił front. Przemówił teraz błagalnym tonem, prosząc o możliwość zamienienia kilku słów z siostrą.

– Wiśniowscy ze Zgierza są porządną rodziną, uczciwą, szanowaną w całej okolicy. I przyjmą zbląkaną owcę, choć ludzie będą gadać. Każdy jednak jakiś krzyż dźwiga, więc... Spytaj pan Karusi, czy zechce wysłuchać brata, kochającego ją nad życie mimo wszystko... – Mówił bez ustanku, więc Karol Wedel wyszedł z salonu już choćby po to, by uciec od tego potoku słów.

Nigdy nie przepadał za gadulstwem stanowiącym główną aktywność wielu ludzi. Sam był człowiekiem konkretnym, dla którego liczyły się czyny, nie słowa, a już zwłaszcza te niemające żadnej wartości. Tylko ostatnio się zaplątał w życiowych komplikacjach po śmierci ukochanej Karolinki. Coś musiał począć ze swoim bytem, jeśli nie dla siebie, to dla Emilka, ale na razie nie miał pojęcia, co i w jaki sposób. Jednakże kwestia panny Wiśniowskiej...

– Siostra pańska oświadczyła, że wiadoma jest jej sprawa, z którą pan przyjechałeś, i że nie ma nic do powiedzenia. Na razie nie ma zamiaru wracać, bo przyszłości dla siebie przy was nie widzi, za to czeka ją marny los – oznajmił po chwili, powróciwszy do salonu.

– Tak powiedziała? – zaperzył się Robert Wiśniowski. – Coś pan kręcisz... Pozwól, że jednak sam się z nią rozmówię.

– Nie słyszałeś pan? Panna Karolina nie ma nic do powiedzenia, a teraz karmi dziecko, więc tym bardziej nie przyjdzie. – Karol Wedel usiłował wypchnąć tego nieznoś-

nego człowieka za drzwi, on jednak nagle zamarł w bezruchu.

– Dziecko? Pewnie urodziła pańskiego bękarta, a dla niepoznaki przedstawicie go jako syna nieboszczki. No nie, co za wstyd i despekt! – Robert złapał się za głowę.

Karol westchnął.

– Prawda brzmi zupełnie odwrotnie – powiedział po woli – choć przyznać muszę, że panna Karolina zajmuje się Emilkiem jak rodzona matka. Doprawdy, nie mam pojęcia, co bym bez niej począł. Tutaj czuje się potrzebna, po co zatem miałyby wracać? Żeby do końca życia wysłuchiwać wyrzutów i połajanek? Spędzić życie w jakimś klasztorze, pokutując lichu wie z jakiego powodu?

Karol Wedel pomyślał, że udzieliło mu się gadulstwo brata Karoliny. Na dziś miał dosyć wszystkiego i wszystkich. Uprzejme to nie było, lecz poprosił gościa, aby ten opuścił mieszkanie, tłumacząc przy tym, by z siostrą próbował się rozmówić, gdy ochłonie. Wysłuchał jeszcze informacji, że Robert zatrzyma się w hotelu i przyśle jutro, najdalej pojutrze wiadomość Karolinie. Po tych słowach Wiśniowski wyszedł z saloniku, trzaskając drzwiami i prawie przewracając podsłuchującą Joankę. Jeszcze ciekawska służąca do kompletu, ale która nie jest wścibska? „Ta przynajmniej małomówna”, westchnął w myślach Karol, po czym spojrział wymownie na tych smarkaczy, Gucia i Frycka, dla których całe zamieszanie stanowiło zapewne świetną zabawę. Niech już pójdą do domu, zostawią go samego. Na dziś wystarczyło mu przeżyć. Młodzieńcy nie śmiali się jednak; w ich oczach widział zrozumienie.

– Po co się panu Karolowi szarpać, najlepiej wyjechać i zacząć wszystko od początku – powiedział Gustaw.

– Ja, wystawcie sobie, ja się wręcz duszę w Berlinie. Piwniarnie mamy najlepsze, dziewczęta niezgorsze, ale trudno tu coś osiągnąć – perorował Fryderyk. – Wszystko obsadzone z dziada pradziada... Dobrze, jeśli człowiek zaczepi się u kogoś, tylko ja pragnę pracować na swoim. Plan mam nawet, jednak Berlin...

– O czym młody pan Pulss rozmyślasz? Masz trochę racji co do Berlina, jednak dla mnie to ojczyzna... No i najdroższe wspomnienia – rzekł w zadumie Karol Wedel.

– Dom, rodzinę każdy w sercu nosi, a od wspomnień czasem dobrze uciec, nie rozdrapywać wiecznie ran – wtrącił Gucio.

– Mydła, pudry, wody kolońskie, perfumy... Wszystko pierwsza klasa, według mego pomysłu. Pięknie pakowane, dla pięknych dam. O tym myślę i ten cel przede mną, jeno szczegóły dopracuję, gotówki więcej zaoszczędzę – ciągnął Pulss.

– Dziecko mam, syna muszę wychować – wtrącił Wedel, ale młodzieńcy wzruszyli ramionami niejako ze wzgardą.

– Z całym uszanowaniem, ale pan Karol ględzi jak baba. Nikt dziecku nie odmawia, co mu się należy, jednak to głównie sprawa kobieca. Matczyne oko, codzienne starania... Pan Karol dobrze o tym wie. Jest nawet taka pod ręką, że bliżej się już nie da. Trzeba się z panną Karoliną żenić, to od razu i ten jej braciszek przestanie się awanturować.

– Żenić? A moja żona świętej pamięci? – zakrzyknął gwałtownie Wedel, jakby brakowało mu piątej klepki.

Goście wytrzeszczyli nań oczy. Może by i powiedzieli więcej, lecz widząc w minie gospodarza pragnienie samotności oraz słysząc z głębi mieszkania kwilenie dziecka, pożegnali się uprzejmie i wyszli.



– Zęby wychodzą Emilce, dlatego płacze. Czoło chłodne, apetyt dopisuje, czyli wszystko jak należy – relacjonowała panna Wiśniowska. – Cicho, malutki, cicho. Zaraz ukołyszę cię do snu, masz, ssij... Joanka zrobiła smoczek, to cię uspokoi.

– Ano widzę i kontent z tego jestem, że dziecku niczego nie brakuje. A pannie Karolinie zbywa czegoś? – spytał nieco bezmyślnie Karol Wedel, zanim zdążył ugryźć się w język.

Zrobił to za późno, gdyż Karolinie Wiśniowskiej rozbłyły oczy nadzieją, wyczekiwaniem czegoś dobrego, a jednocześnie złością. Powody były mu znane i w duchu przyznawał jej rację, choć wciąż nie potrafił zdecydować, w jakim kierunku mają iść sprawy dotyczące nie tylko jego. W domu rodzinnym zdarzały mu się chwile niemocy, jakiejś dziwnej bierności, bo po co było się wysilać, gdy ster rządów dzierżyła energiczna matka, niemniej były to jedynie chwile. Coś już osiągnął w życiu, wyjeżdżając z Ihlenfeldu i zdobywając w świecie szlify cukiernicze, wreszcie w Berlinie liczone się mocno z jego umiejętnościami. Ale od śmierci żony tkwił w jakimś dziwnym marazmie, nie potrafiąc, nawet nie pragnąc iść dalej. Kręcił się w kółko, a najlepszymi momentami w ciągu dnia były te, gdy pra-



cował przy swojej ukochanej czekoladzie, wypiekając torty i mazurki oraz rozmyślając nad udoskonaleniem syropu na kaszel. Gdyby był naprawdę idealny, to świętej pamięci żona pewnie została by przy życiu, syn miałby matkę, a on...

Karol otarł oczy.

– Pańska małżonka była moją najlepszą przyjaciółką i do śmierci będę po niej płakać. Wiadomo jednak, że zmarłym życia się nie wróci. Trzeba się pogodzić z wolą boską, czynić to, co Wszechmocny nam wyznaczył – powiedziała parę miesięcy temu panna Karolina Wiśniowska.

Siedzieli wtedy w pokoju służącym Emilce za sypialnię, gdzie spała również Karolina. Trzymała niedawno urodzone dziecko na kolanach, przytulała je i całowała. Jego ojciec spoglądał na uśmiechniętą, ładną, taką energiczną Karolinę i coś w nim drgnęło. Kiedy dziecko usnęło, spojrzeli sobie w oczy, ich ręce się splotły, wreszcie Karol Wedel objął pannę Wiśniowską i pociągnął do sypialni, na szerokie łóżko z baldachimem. Karolina pospiesznie zdejmowała szerokie spódnice z halkami, pozbywając się również obręczy z fiszbinów, na której rozpięte było sukno. Zaważała się przed zdjęciem sznurówki.

– Trudne jest takie wiązanie, pan nie dasz rady, a Joanki nie poproszę, po co ma później plotkować – szepnęła mu do ucha, choć ogarniała ją coraz większa namiętność.

– Dam radę... Pomogę... Będzie dobrze – dyszał Karol, pieszcząc szyję, piersi, wreszcie nogi dziewczyny.

W końcu oboje byli nadzy i z wielką radością zadośćuczynili wzajemnemu pożądaniu. Karolina krzyknęła, że boli, lecz po chwili uśmiech rozjaśnił jej twarz i przytuliła się mocno do Karola, prosząc, aby nie przestawał, bo-

wiem cudowne jest to, co czynią. Po wszystkim zapadli w sen, z którego pierwsza obudziła się panna Wiśniowska. Przetarłszy oczy, rzekła, że rada by spędzić noc z panem Karolem, ale Emilek może płakać i po co rzucać się na źer plotkarom.

– Już i tak dużo tego. Pewnych granic nie można przekraczać. Joanka od dawna opowiada na rynku, co się u nas dzieje. Do matki też pisze. Kiedyś przypadkiem znalazłam jej niewysłany jeszcze list. Dziewczyna niby trusia, niewykształcona, ale jakimś sposobem posiadała sztukę epistolarną.

– W takim razie co robimy? I dlaczego mówisz mi „pan”, skoro niedawno było zgoła inaczej? – spytał Karol Wedel.

– Forma zwracania się do pana Karola zależy wyłączenie od pana Karola – odparła panna Wiśniowska niby wesoło, niby przekornie, lecz z nadzieją.

Czytał to w jej oczach. Miał świadomość, że nie powinien czynić z dziewczyną z porządnego mieszczańskiego domu tego, co mąż czyni z żoną. Ostatecznie, jeśli się ożeni... Właściwie powinien to zrobić, Karolina przypadła mu do gustu, a matką dla Emilka byłaby świetną. Tylko że... Karol Wedel znowu popadł w smutek przejawiający się niezdecydowaniem. Jednakże się nie paliło, dziś wieczór i tak ślubu nie weźmie, a jutro spokojnie się zastanowi, rozmówi się z panienką, wcale rozsądna z niej dziewczyna...

– To dobranoc pannie Karolinie – rzekł, gdy była już ubrana. – W rzeczy samej, Emilek może się obudzić w nocy.

Karusia Wiśniowska odpowiedziała mu grzecznie, lecz w jej oczach pierwszy raz ujrzął irytację, by nie rzec, nawet złość. Udując, że tego nie widzi, odprowadził ją do

pokoju dziecka. Sytuacja się unormowała, choć wcale nie tak, jak wymagałaby tego dżentelmeńska uczciwość, ani tak, jak pragnęła Karolina. Z oddaniem zajmowała się dzieckiem i dość często gościła w sypialni pana domu, gdzie kochali się do upadłego, ale nadal ukradkiem. Po wszystkim dziewczyna wracała do siebie, a on postanawiał ustalić coś konkretnego następnego dnia, no, może za parę dni, i tak mijał czas. Panna Karolina zaczynała przebąkiwać o wyjeździe, a wtedy Karol przekonywał ją, aby jednak została. W cichości ducha zdawał sobie sprawę, że u niego ma lepsze lub gorsze, lecz jednak schronienie. Czy porządni ludzie chcieliby się zadawać z osobą o mocno zszarganej reputacji? Karolina Wiśniowska nie robiła nic złego, ale obowiązywały pewne zasady. Taki po prostu był świat. Dziewczyna przedłużała zatem pobyt w jego domu, mówiąc, że nie ma sumienia rozstać się z Emilkiem, którego pokochała całym sercem. „Ciebie również”, wyznawały jej oczy, lecz Karol Wedel udawał, że nic nie rozumie.

– Niczego mi nie brakuje – rzekła teraz dumnie, choć wyraz jej twarzy przeczył słowom. – Dziś śpię przy dziecku, bo te zęby... Normalna sprawa, a jednak potrafią dokuczyć.

Odwróciła się plecami, dając w ten sposób do zrozumienia, że Karol ma wyjść, co też uczynił, mamrocząc pod nosem, że jakoś to będzie. Kilka tygodni później w progach jego mieszkania, bez żadnych zapowiedzi ani telegramu, zjawiała się jego matka.

– Co mama tak nagle? Joanka mamę wpuściła? – spytał cokolwiek niemądrze, gdyż wytrąciło go to z równowagi.

Pisywał do rodziców w Ihlenfeldzie z rzadka, nie zagłębiając się w szczegóły, bo i po co. Nie zrozumieliby wielu

rzeczy; sam nie zawsze je rozumiał, a przywykł do samodzielnego radzenia sobie z losem. Tym bardziej że od dawna był dorosły, miał syna, miał pracę będącą jego największą pasją i odwykł od matczynych rządów.

– Dlaczego miała mnie nie wpuścić? Wie, co do niej należy, poza tym gdyby nie ja, to pasłaby pewnie krowy pod Ihlenfeldem. Wdzięczność to rzadko spotykane uczucie – odparła Frau Christine Wedel.

– Jaki jest cel wizyty kochanej mamy?

Spojrzała na niego, żywo obruszona.

– Czy już matka nie może odwiedzić rodzzonego syna? To takie dziwne? Musiałam zrobić pierwszy krok, inaczej w tym życiu byśmy się pewnie nie spotkali.

– Mam mnóstwo pracy, a zresztą...

– To bardzo chwalebne, że pracujesz. Dochodzą nas słuchy o twoich osiągnięciach. Jednak nie samą pracą człowiek żyje, synu.

– Rozumiem, że doszły jeszcze inne słuchy? – spytał na pół zrezygnowany, na pół zirytowany Karol.

– Cóż, oczywiście i dobrze się stało. Gdyby nie ta poczciwa Joanka, która pisze o tym, jak żyjesz i co się wyprawia w twoim domu... Nie patrz tak, mój drogi. Oczywiście jest, że rodziców obchodzi los dzieci. Nawet gdy te błędzą.

– To plotkara wstrętna, droga mamo. Nic złego nie robię. Pracuję od rana do wieczora, a...

– A reszta to sprawa krasnoludków? Karolu, dopiero pierwszy raz ujrzę mojego wnuka, ponieważ nie zaprosiłeś mnie wcześniej. Matka twojego dziecka nie była wymarzoną partią, lecz wnuk to wnuk. Własna krew. A jak już się chciałeś żenić, to trzeba było zrobić to porządnie.

– Mamo, moja świętej pamięci żona – podkreślił ostatnie słowo – miała nieuregulowaną sytuację prawną. Z metryką coś nie tak było, stąd oboje poszliśmy do urzędu celem rejestracji jako mąż i żona. Najważniejsze, że ludzie się kochają. I proszę nic złego nie mówić o zmarłej – zaperzył się Karol Wedel.

– To nie było legalne – stwierdziła Christine zasadniczym tonem – a urząd też nie działał zgodnie z prawem, wiesz doskonale. Jednakże dokument był, oświadczenie woli było. Emil nosi twoje nazwisko, jest twoim dziedzicem i spadkobiercą. Niemniej zaprzepaścisz wszystko, synu, jeśli nadal będziesz bałamucić pod własnym dachem tę Wiśniowską. W jej przypadku nie starczyło ci nawet chęci, by pójść choćby do tego podejrzanego urzędu? – W ferworze przemowy podniosła głos.

– Ciszey, bo Joanka usłyszcy, Emilek się obudzi, a panna Karolina... – prosił Karol.

Nie docenił jednak siły woli rodzicielki, która postanowiła uczynić wszystko, by zawrócić syna z manowców na prostą drogę, a wraz z nim nieszczęsne, niczemu winne dziecko oraz pannę Wiśniowską. Machnięciem ręki zbyła wyjaśnienie o smutku po śmierci żony, udaremniającym mu jakikolwiek większy wysiłek.

– To ci jakoś nie przeszkadza w uwodzeniu tej dziewczyny, która musi cię bardzo kochać, inaczej dawno by sobie dała z tobą spokój. Ożeń się z nią, Karolu, jak należy, niech pastor da wam ślub. Joanka mówi, że panna Karolina uwielbia dziecko. Możesz powiedzieć, że jest jego matką. Ma takie samo imię, co ułatwi sprawę. Oczyszczisz honor całej rodziny.

– Droga mamo, jestem dorosły i wiem, co mam zrobić – odparł zdenerwowany Karol.

– To zachowuj się jak dorosły! Wedle zasad obowiązujących w świecie!

– Przepraszam, ale chciałam zaproponować herbatę i coś do niej. – W progu stanęła panna Wiśniowska. – Karolu, przynieś, proszę, karmelki twojego wyrobu. Joanka przyrządzi kolację, na którą też zapraszamy. Na noc proszę zatrzymać się u nas.

Frau Wedel chrząknęła z aprobatą. Dziewczyna źle zrobiła, żyjąc z człowiekiem niebędącym jej mężem. Darczyła go jednak uczuciem, a to ważne. Była ładna, postawna i sprawiała wrażenie praktycznej i zorganizowanej. Matka Karola dobrze wiedziała, że przeczucia nigdy jej nie myliły. Z taką jej syn nie zginie, musi tylko wykazać się odrobiną rozsądku.

Po herbacie, kolacji, po zachwytach nad Emilkiem i obasypaniu go prezentami Christine Wedel spędziła w domostwie Karola trzy dni, a przed wyjazdem pożegnała się serdecznie z panną Wiśniowską, szepcząc jej do ucha, że teraz wszystko się odmieni.

Odmieniło się o tyle, że Karol Wedel wraz z Karoliną Wiśniowską udał się do tego samego urzędu co poprzednio, gdzie oświadczyli, iż są mężem i żoną, a po uiszczeniu stosownej opłaty wydano im poświadczenie tego faktu.

**NIE TYLKO DLA MIŁOŚNIKÓW  
DOWNTON ABBEY.  
I CZEKOLADY!**

Siedemnastoletnia Joanka Miller dostaje propozycję pracy i wyjeżdża do Berlina. Chlebodawcom podobają się skromność i pracowitość dziewczyny. Nakazują jej solenne wypełnianie obowiązków oraz trzymanie języka za zębami. Panna zamieszkuje przy rodzinie Karola Wedla i wkrótce pochłania ją wir spraw – w tym wyjazd do Warszawy, gdzie słynny cukiernik w 1851 roku zakłada własną cukiernię.

*Czas Karola* opowiada o początkach i rozwoju najśłynniejszej polskiej firmy. Są Karol i Karolina Wedlowie, ich dzieci Emil i Eleonora, służąca Joanka, kucharka Józefa i wiele osób z pierwszych stron gazet. Są zakupy w sklepie Stanisława Wokulskiego, gdzie panna Eleonora poznaje Izabelę Łęccką. Jest też skromny subiekt Ignacy Rzecki – stały bywalec wedlowskiej pijalni czekolady.

**To oparta na faktach ballada o wspaniałych ludziach.  
Ballada napisana ze swadą, realistyczna,  
lekką melancholijna i często dowcipna.  
Oraz pełna obłędnego smaku czekolady!**

**KUP TERAZ!**

www.mojginesy.com.pl



9 788367 022316

CENA 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

WielkaHISTORIA.pl



w sprzedaży także

eBOOK

audio  
BOOK